

Drogi Zdzisławie,

przed chwilą wróciłem do domu, wyjąłem ze skrzynki Twój list i próbuję nań zaraz odpowiedzieć. Cóż, na początek wypada mi się cieszyć, że jeszcze raz przeczytałeś napisany przeze mnie tekst. Nim spróbuję wyjaśnić pewne punkty sporne, chciałbym po prostu powiedzieć, że w tym co piszesz w dużym stopniu się zgadzam. To raz. A druga rzecz, to to, że dziś, choć ze wszystkim co tam napisałem się zgadzam i podtrzymuję (czy też prawie ze wszystkim), ale dziś bym tego już nie napisał czy też napisał bym coś innego, to coś, co za niecałe trzy tygodnie będę musiał wygłosić na tym Spotkaniu, od którego zaczęła się nasza znajomość. Otóż to co chcę powiedzieć (niestety ciągle werbalnie powiedzieć – ale to już trudno, skoro się zaangażowałem w tą imprezę – nie chce się zarzekać, ale mam nadzieję, że to już jeden z ostatnich, jeśli nie ostatni mój występ), sprowadza się w gruncie rzeczy do totalnej negacji wszelkiego gadania i rozumowania o sztuce, do tego, by powiedzieć, że sztuka jest czysta (to nieszczęsne słowo wydaje mi się tu rzecz najlepiej określać), to sprawa czysto osobista i nie ma sensu sobie zawracać głowy rozwojem sztuki, społeczeństwem, odbiorcą i różnymi głupawymi bzdurami, gdyż i tak to co jest istotne to ja i obraz i nic więcej lub bardzo niewiele więcej. Chcę przeprowadzić paralelę pomiędzy alchymią, która była drogą inicjacyjną par excellence i to właśnie taką drogą, która w odróżnieniu od na przykład chrześcijańskiej mistyki, akceptowała (żeby tylko) rzeczywiście dwa oblicza bóstwa (którego to drugiego oblicza wydaje ci się że ja nie dostrzegam – ale o tym za chwilę). Ale nie wiem jak to wszystko wyjdzie, bo to już jak powiadam, niecałe trzy tygodnie, a moja abnegacja poszła tak daleko, że nic poza tymi luźnymi myślami do tej pory nie przygotowałem i wcale nie jestem pewien czy przygotuję, czy przypadkiem nie zacznę czegoś bełkotać lub nie powiem jednego zdania.

Ano zobaczymy. Ja ci ostatnio proponowałem przyjazd. Fajnie by było jak byś się dał na to nabrać. Mam wrażenie, że nie byłoby tak źle, jak Cxi się to kiedyś wydawało, bo zawsze istnieje ta możliwość, by wyjść z sali i iść na wódkę. Po tem przydługim wstępie może się zabrać do rozbioru Pan zastrzeżeń. Món Chere, jeśli chodzi o podejrzanę ekscytację, to adresowane w równym stopniu do Ciebie jak do mnie i jeszcze do x innych. Ale po prawdzie nie jest to mimo wszystko adresowane do Ciebie (nie myśl, że jest to unik), gdyż nie tyle mi chodziło o to, czy Ty czy ja czy Pan x poddaje się podejrzanym ekscytacjom, ile o to, że te właśnie ekscytacje, stają się jakby ersatzem, namiastką autentycznego przeżycia, stają po prostu dużą szwedzką lipą, czymś niemal takim, jak posiadanie lodówki czy odpowiednio modnego krawata w przeniesieniu na inną płaszczyznę. O tych ekscytacjach, aczkolwiek może niewiele, mogę coś powiedzieć, gdyż byłem niegdyś w ich dość przemożnej władzy. Ja nie twierdzę, że są to rzeczy niemiłe, czy też niemiłe stały się dla mnie. Po prostu niemiłe było dla mnie to, że im stałem się w pewnej chwili podległy, że one a nie ja nimi, władały mną. Tak jak w wypadku Twoim – na ile się mogłem z tych pisanych rozmów zorientować, a zresztą nie tylko z rozmów, ale przede wszystkim z tego co robisz – to wydaje mi, jestem tego nawet pewien, że o takim wypadku jak Twój wcale nie mówiłem. Mówiłem o tuzinkowej przeciętności. A teraz kwestaia, czy w ogóle warto mówić o tuzinkowej przeciętności.

W tej chwili jestem zdania że w zasadzie nie warto i zgadzam się z tym co mówisz o wybranych czy straconych. W trochę mniejszym może stopniu, ale jednak, byłem o tym przekonany od dawna. I to co pisałem nie było adresowane do straconych, ale do potencjalnych przynajmniej wybranych. W chwili gdy siebie uznałem za „wybranego” to wiem, że istnieją również

rzeczy zewnętrzne, które mogą być dla niektórych wielką pomocą. Ja w swoim czasie tę pomoc z zewnątrz otrzymałem i w dość może naiwny sposób pragnąłem ją oddać, przekazać innym. Ale tak naprawdę nie mam wielkich złudzeń, bo nawet do moich najbliższych przyjaciół (tych w sumie może 5) nie trafiło to tak, jak bym chciał żeby trafiło, czy też nie wyciągnęli z tego tego, co wydawało mi się, że można wyciągnąć, może się zresztą mylę, może na coś się to komuś przydało. Jeśli był to jeden człowiek to już dobrze, a tym jednym byłem być może ja, więc też dobrze.

Drogi Zdzisławie wierz mi, że nie mam żadnych katechizmowych zahamowań w podświadomości, ani też żadnych końskich okularów. To, że nie używam pewnych sformułowań, czy że nie na wszystko się godzę, wcale tego nie oznacza. Mój przyjaciel, ten z którym, czy też który tłumaczył ten Zen, który ci posłałem ostatnio, ten sam którego kiedyś uznałeś za poetę, namalował taki obrazek w pastiszowej cokolwiek konwencji, na którym prócz napisów innych, znajduje się taki: „Mam w dupie /obiektywne normy estetyczne/ A /jedynym pr/ awdziwym/ malarstwem/ jakie/ znam j/ est/ DEFEKACJA/ czyli/ wymioty”. A poza tym, obraz jest bardzo ładny, tą urodą jakie ma stare malarstwo i przedstawia przybycie Bodhidharmy na zachód (czyli do Chin). Bardzo to szczególny ten Bodhidharma i niczym nie przypomina tego co się zwykło rozumieć pod „misjonarz”, „założyciel sekty” czy „przewodnik duchowy”. Taki fajny idiota, choć można to odebrać właśnie wprost przeciwnie (jak odbieram właśnie ja). Otóż ten obraz jak powiadam jest ładny. I właśnie to stało się powodem do zarzutów ze strony innych (małżeństwa) przyjaciół, że tak jak on jest namalowany, to stoi w sprzeczności z tą deklaracją. Bo ludziom się wydaje, że jak ktoś mówi wymioty, to już koniecznie musi sfrocać (jak się to na Śląsku mówi) resztki zgniłych ogórków i cuchnący kwas

żołądkowy. Ja nie uważam by to do czegoś zobowiązywało, poza ogólną postawą,
..... tu nastąpiła przerwa chyba trzech dni, a teraz jest koniec soboty.

K o n t y n u u j e m :::

Gdyż takie wymiotowanie w dosłownym sensie nie jest niczym innym jak odwrotnością zwalczanej postawy (dajmy na to norm estetycznych) a nie jej przewyciężeniem. Porzucając, ten przykład, a wracając do mego stosunku do świata, który w pewnym sensie kwestionujesz, to, jak mi się wydaje, wygląda to tak, że kocham ten świat i również wydaje mi się on piękny, i nawet stojąc z zewnątrz, spoglądając nań z perspektywy „ponadczasowej” nawet wyrażam na niego zgodę, ale zgoda ta nie wypływa z mojej wnętrzości, a raczej z przekonania ogólnego, że tak jak jest, tak musi być. Nie wiem czy się jasno wypowiem, ale czuję to jako dialektyczne zmaganie się pomiędzy tym co jest a tym co będzie, i mam to naiwne przekonanie, że na to jak będzie mam wpływ., oczywiście wpływ taki, jaki może mieć na coś jedna z miliardowej części większej całości, ale tym niemniej wpływ, i to wpływ, który sumując się choćby z kilku tysiącami podobnych partykuł już może wnieść pewną zmianę. W końcu, jak sądzę, nie inaczej to zawsze wyglądało. Ty piszesz ciągle o mechanizmach kompensacyjnych. Równie dobrze jak Ty zdaję sobie z nich sprawę. Ale wcale z tego powodu ich nie akceptuję. Jeśli zamiast kogoś zabić tylko lekko (w ramach kompensacji) potłukę żonę, to chromolę taką kompensację. Jeśli zamiast się przespać z dziewczyną, na którą mam chęć, będę w ramach kompensacji i by nie robić przykrości żonie, onanizował się przed lustrem, to taka kompensacja mi również nie odpowiada. Wole raczej pozbawić się chęci. Czy można to zrobić bez stłumień i bez tego, by się to gdzieś, w którymś najmniej odpowiednim miejscu, w jakiejś innej nawet formie

nie wyrwało? Sądzę że tak, ale pewnie to nie krótka i nie łatwa droga. Będziesz pewnie twierdzić że się mylę i że siebie okłamuję, ale pozwól mi o tym mieć własne zdanie.

Świat nie jest od stuleci taki sam. To znaczy, chcąc być ścisłym: jest taki sam i inny równocześnie. Ale nie mówię o tej inności, która wynika z tego, że dzisiaj latają spodki, a niegdyś tylko czarownice tak mogły. Chodzi mi o coś całkiem innego. A to coś innego, to jak mi się wydaje, nieustannie zmieniająca się pozycja świadomości. W pełni doceniam argumenty typu: Juliusz Cezar był tym samym co Hitler ostatnio, lub rozwydrzenie elity w Cesarstwie rzymskim (na przełomie er) było takie samo jak dzisiaj. Ale nie przekonują mnie one. Patrząc na to z innej perspektywy i pod innym kątem. Jeśli taki sam, to w tym sensie, że najprawdopodobniej niewiele się zmienia relatywna równowaga pomiędzy – jak to określasz – dwoma twarzami bóstwa. Ale to jeszcze nie wszystko. Być może zresztą, że to wszystko są i9dee fixe, ale tak właśnie się myśli.

Dostałem dziś Twój list z 3 października, ale nim nań zacznę, chcę jeszcze pewną sprawę, o której regularnie zapominałem. Więc popełniłem (za co z góry przepraszam) pewną niedelikatność w stosunku do tajemnicy korespondencji i wykorzystałem podany przez Ciebie adres pana Markiewicza do wysłania do niego zaproszenia na to nieszczęsne Spotkanie. Otóż on jako drugi chyba na to zaproszenie odpowiedział i przyjedzie. A ja do faceta posłałem dlatego, że przypominam sobie, że napisał o tobie już kiedyś w Kulturze (samej recenzji niestety nie) no i poza tym Twoja rekomendacja, że facet taki solidny i bez reprodukcji czy oryginałów nie może (nie jest w stanie) napisać czegoś tam o Tobie, i to, że wyczułem, że go wyżej stawiasz od Ligockiego, a Ligockiego wiem że bardzo wysoko, więc itd. ... Poza tym przypominam sobie dość głupawy, jak mi się wówczas

wydawało, tekst w kulturze o św. Franciszku (sygnowany, jeśli dobrze pamiętam, jego nazwiskiem) i chyba nic poza tym. Byłbym więc wdzięczny za jakąś, jeśli jesteś w stanie i ochocie, charakterystykę faceta, kto to jest, jak z nim gadać itd., itd. To tyle jeśli chodzi o to. Wdzięczny będę itd.

Co do Junga, o którym wspominasz. Błagam o cierpliwość, bo sytuacja jest dość skomplikowana: ja osobiście znam stosunkowo dużo Junga, gdyż mi żona tłumaczy. Poza tym tłumaczyła, a ja pisałem, tak jak leciało. Dla mnie – przy wczuciu się w terminologię faceta, w sposób wyrażania się mojej żony, teksty te są zupełnie wystarczające i mogę z nich korzystać w pełni. Nie są to jednak arcydzieła literackie, a choć nawet nie o to chodzi, czasem trudno komuś – jak się to mówi – z zewnątrz – pewne fragmenty zrozumieć, czy też może je nawet zrozumieć opacznie. Dlatego mam opory przed wysyłaniem tych tłumaczeń, chyba żebyśmy z żoną siedli i je skorygowali na maszynopisach, ale to też kwestia czasu. Do użytku zewnętrznego przystosowany został właśnie ten maszynopis, który masz i który możesz trzymać tak długo jak Ci się podoba, gdyż nie widzę na horyzoncie jak na razie nikogo godniejszego jego trzymania i tym milej mi to wyznaczyć, iż niegdyś prezentowałem ci takie tam obawy. Poza tym, jak już Ci pisałem, „Psychologię i Alchymię” zacząłem przepisywać i będę to robił nadal, teraz tylko jest to wszystko w Żarkach, gdyż nie zmieściło się do bagażu, a ja nie mam czasu tam pojechać po to, gdyż jak ci pewnie coś wspominałem, ujaili mnie finansowo i zamiast zarobić raz na dwa miesiące te 10 patyków, muszę latać za małymi chałturkami po 300 zet, żeby jakoś związać, jak się to mówi, koniec z końcem. A na dodatek jeszcze teraz nastąpił okres zainteresowania mistyką Dalekiego Wschodu, i to też czasowo utrudnia tamte sprawy. Suzukiego jednak przeczytaj, jest fajny i mnie ta książka coś jednak dała i będę ją polecał, a poza tym

są tam tak piękne anegdotki, że naprawdę mogą Ci się sprzydać na bliskim wernisażu. A propos wernisaż: czy pamiętasz, że wernisaż Twój w Katowicach ma być 20 Listopada??? Co do katalogu, muszę Cię uspokoić, gdyż jak się wydaje, trochę się przeraziłeś posłanym. Z posłanym wspólny Twój będzie miał tylko format, no i fakt, że reprodukcje będą czarno-białe. Katalog wprostowców jest typowy dla wprostowców, gdyż oni już taką piątą gazetę wydali i taki tylko chcieli mieć. Twój będzie miał na okładce jedyna jaką znalazłem z Twoich, kwadratową reprodukcję i napis BEKSIŃSKI, wewnątrz kreda (???) i reprodukcje w formacie zbliżonym do A4. znajdzie się tam też pańska podobizna, a nawet dwie, lecz bez amerykańskich planów (reprodukcji swej prezencji nie przysyłaj, wszystko już jest). Napis Beksiński na okładce pismem ze składu, takim jak to bywa na klepsydrach, cokolwiek secesyjnym. Jakoś to będzie i mam nadzieję, że nie będziesz specjalnie niezadowolony.

Mój magnetofon. Zaraz sprawdzę. No więc tak: chodzi na 9,5 i 19 w jedną stronę, to znaczy chodzi przewijanie w obie strony, ale odtwarza i nagrywa (nie masz w ogóle pojęcia jak) w jedną. Co do bigbitu, to nie musiałem wierzyć zbyt pochośnie p. Garzdeckiemu. Nie wierzę w ogóle takim panom, a już najmniej jemu, który chcąc być taki cwany, najprawdopodobniej nabrał się na Monsielu, jeśli sądził że Ty tylko tak dla zgrywy określiłeś go jako największego współczesnego malarza. Tak przypuszczam, gdyż sam tak określając Monsiela po jego krakowskiej wystawie, często natykałem się na podobne niedowierzanie. (Teraz honorowe miejsce największego polskiego malarza, to krzesło na jednej nodze lub żadnej, jest w moim panteonie zajmowane przez Łaskawego Ciebie). Otóż nie musiałem, gdyż sam mi o tym beacie pisałeś, ale skoro jest uber alles, to czego się Pan zawstydzasz? Wracając do meritum. Jasne że historie typu

„obraz – dźwięk” to nie to i nigdy bym Ci nie proponował takiej błazenady jak podbudowywanie nastroju obrazu dźwiękiem. Chodziło mi raczej o szok, powiedzmy „szok”. Ale rzeczywiście, może to zostać (pytam się tylko przez kogo) odczytane jako coś w rodzaju heppeningu, a skoro Ty nie, no to nier. Ten pomysł z 5 głośnikami wydaje mi się wspaniały natomiast. Byłbym ogromnie ucieszony, jakby się to dało zrobić. Jeśli chodzi o pięć magnetofonów, to bez specjalnych trudności można je skombinować. Są pewne problemy jak to rozmieścić w sali, ale to również można by przedyskutować, jeśli byśmy się zobaczyli w najbliższym czasie. Właśnie na wernisażu Wprost był Lewczyński i powiedział mi, że ma mnie zabrać około 15 tego miesiąca i przywieść do Ciebie. Nic o tym nie wiedziałem, ale skoro przedstawił mi to jako sprawę załatwioną, no to świetnie. Powiedział mi że jestem już przez Ciebie zaakceptowany i że w ogóle fajnie i że do mnie za parę dni zadzwoni. Błagam tylko, ja tu tonem takim trochę kpiącym, ale ty nie pisz nic o tym Lewczyńskiemu, bo ja go choć nie wiele znam, to jednak bardzo lubię, a na dodatek mógłby mnie nie zabrać z sobą, a ja bym tak chętnie się przejechał, traktując to na dodatek jako „obowiązek służbowy” i pobierając jakieś diety, za które mógłbym Ci kupić kredy do katalogu, gdyż kupić na lewo to jedyna możliwość na kredę.

Z tym Suberlakiem to bardzo fajna wyszła historia. Jest jednak między wami (Wami) jakieś tajemne pokrewieństwo. Przypominam sobie, że opowiadano mi, że zrobił takiego chłopca z rozkrzyżowanymi ramionami, w środku oczywiście ludziki, krowy, świny etc. Otóż żona jednego z moich przyjaciół oglądając to u niego w pracowni powiedziała „Ładny ten Chrystus”, czy coś takiego w tym rodzaju. Na to on: „O Jezu, Jezu, to co powiedzą w Komitecie, to przecież ma być chłop-drogowskaz.” Poczym wspomniana praca nie

ujrzała już cyba światła wystaw, a może została podstępnie sprzedana na Dzikie Zachód. W każdym razie za autentyczność anegdoty ręczę. A tajemne pokrewieństwo w tym, że Ty też te bluźniercze, jako piszesz, ukrzyżowania, które nie chcą być ukrzyżowaniami. Swoją drogą dobrze czasem tak zza węgła Suberlakowi, bo zawsze coś interesującego wyskoczy. Nigdy bym nie przypuszczał, że robiłeś takie arcimboldeski (że Cię nie urażać sub-erlasskami) i nigdy byś pewnie o tym nie wspomniał, jako że to dla Ciebie punkt drażliwy. Teraz jednak, mam nadzieję, skoro zasłona tajemnicy i tak została rozdarta, pokażesz mi kiedyś te postacie w postaciach i będę mógł sam ocenić ile w Tobie Suberlaka, bo że w Suberlaku nie ma niczego z Ciebie, o tym jestem niezbitie przekonany, gdyż on to jednak indyweidualność, choć może nie tak wielka jak Bereś. Nie wiem czy znasz Pana Beresia, ale to jest potężna siermiężna jendewiedualność. Byłem na tego Twórcy hepeningu na początku tego roku w Warszawie, gdyż była w tym czasie tamże wystawa grupy Arkad. Byłem nawet w przeddzień wydarzenia na Foxalu, bo tam się to odbywało, byłem razem z kowalskim, który jest tego B. kompaniem z Grupy Krakowskiej. Otóż ten mózgowiec Kowalski psuł całą zabawę i chciał wytłumaczyć Beresowi, by tekścik, jaki ten przygotował do wygłaszania permanentnego na, tfu, hapeninhgu, sformułował podług reguł polskiej gramatyki i ortografii. Ja oczywiście zorientowałem się, że odebrało by to cały urok ewenementowi i dzielnie przyznawałem rację Beresowi, narażając się później na pretensje Kowalskiego, bo dyskusja była ostra. W każdym razie, jak się na zdarzeniu przekonałem, Bereś mocą swej jedynywidualności, czy przy pomocy mego wsparcia moralnego, nie dał się zbałamucić tym głupawym wstrętem racjonalisty i ortografa. A w ogóle to cenię go za to, że wskutek mąk twórczych, jakich próbkę nam

wtedy objawił, przestał nareszcie robić rzeźby, oszczędzając nam swoją zagrożoną już sympatię wobec jego jendy.

Co do moich przekąsów o Twojej Głębokiej Psyche. Pewnie że to przekąsy i pewnie nie mądre. Przede wszystkim to zazdrość. Zrozumiałem ciebie dobrze już przedtem, jak i rozumiem (jeśli o to chodzi) cały sens. O tym że wszystko jest we mnie wiem, a nawet, choć nie bardzo wiem skąd mi się to wzięło, czuje to. Ale niestety, ta skorupa, która pokrywa ten skarbiec, jest u mnie dość twarda i ciągle trudno mi ją rozbić. Więc próbuję „rozbijać”, a właściwie nie rozbijać, tylko wyganiać ze skarbców innych, przekonany że i tak nie tak bardzo różnią się one od mojego. Ale swój też staram się rozbić, choć jak powiadam, nie przychodzi mi to łatwo. Może stąd tak wiele między nami nieporozumień przy tak wielu podobieństwach, bo znajdujemy się w tym względzie prawdopodobnie w dość przeciwnych sytuacjach. Nie masz pojęcia, jak ja zazdroszczę ludziom, którzy pamiętają swoje sny i mają tak zwane „ładne” sny. Ja nje też może mam, ale rzadko się o tym dowiaduję. Nie zazdroszczę nikomu ani auta, ani forsy, ani prezencji, ani wiedzy, ani wielu, wielu różnych godnych pożądaną rzeczy, a właśnie tego. Jeszcze chwilę i już całkiem bym się rozczulił. Pocieszam się jednak, że pewnie takie jest moje przeznaczenie i co ma być to i tak będzie.

Tyle by było. Jak zauważyłem w ostatnim czy przedostatnim liście, trzecia strona jest z kopii zamiast z oryginału, za co przepraszam, mając przy tym nadzieję, że nie wyrządziłem tym znaczniejszego uszczerbku. Suzukiego, bez pośpiechu, ale jak będziesz mi mógł przysłać to przyślij, bo tak mi się błyskawicznie wszystkie kopie rozeszły, że nawet facet, od którego miałem angielską książkę, z której dokonane zostało tłumaczenie, nie dostał. Przed chwilą zauważyłem że o Markiewiczu już ci w poprzednim liście wspominałem, ale

byłem wtedy zupełnie pijany, więc tego nawet nie pamiętam.
Za informacje będę wszakże wdzięczny, a moje prywatne
MSW gotowe jest zrewanżować się i służyć bogatymi
kartotekami. Tymczasem. Serdecznie pozdrawiam

5/6 aktiabr roku wzmożonego słońca i olimpiady w Mexico